

WYCHOWANIE I NAUCZANIE.

V.

POSŁUSZEŃSTWO I WŁADZA.

„Ecce Homo“, oto człowiek, który idzie swoją drogą wbrew wszystkiemu i wszystkim, bo wierzy w swoją prawdę i w swoją siłę i wie, że nawet umierając zwycięzcą będzie on, nie ci, co ponad prawdą jego i siłą położyli przemoc i pozornie nad nim zapanowali. Taki ideał człowieczeństwa stworzył chrystyanizm — jako wzór na którym teoretycznie ma opierać się wychowanie i nauczanie młodzieży, — a przeciw któremu w rzeczywistości zwracają się wszystkie moce dzierżące władzę i zdążające do zapanowania nie siłą swojej prawdy ale zapobieganiem, aby żadna siła czy prawda ponad nich urość nie mogła.

Siłą i prawdą człowieka jest poznanie życia i zapanowanie nad niem we wszystkich objawach — i to właśnie różni człowieka od innych istot żyjących, to stanowi wyższość jego nad zwierzętami. Zwierzę ma jedną tylko siłę i prawdę: instynkt i on tylko nad niem panuje. Człowiek panuje nad zwierzęciem przez poznanie i zawładnięcie jego instynktów. W tym celu tresuje zwierzę, zmusza do uległości trzymając jego instynkta na wodzy tem, że silniejszym jest od niego zrozumieniem tego, czego zwierzę nie rozumie i zrozumieć nie jest zdolnem.

Dla tego ma człowiek do pewnego stopnia prawo wymagać posłuszeństwa od zwierzęcia, ponieważ ono samo instynktów swoich często szkodliwych pokonać nie potrafi — tem mniej rozwinąć je w produktywną twórczą siłę.

Ale stawianie posłuszeństwa jako pierwszej zasady wychowania człowieka jest ciężką dla człowieczeństwa krzywdą bo stawia przemoc tam, gdzie powinna panować wola. Ulubionem zdaniem doktrynerskich wychowawców jest: „kto

się nie nauczy słuchać, nie potrafi rozkazywać". — Byłoby to słusznem, gdyby doskonałość człowieka stanowiła umiejętność rozkazywania innym. Tak jest zapewne w praktyce o ile idzie o wydobycie się na wierzch po grzbietach lub głowach innych — ale tak nie wolno rozumować tym, którzy rozstrzygają o systemach wychowawczych, mających wyrabiać nowych ludzi. — Nie owładnięcie wolą innych ale zawładnięcie wolą swoją — nie rozkazywanie innym ale opanowanie siebie stanowi siłę jednostki — stanowi wartość społeczeństwa, a do tego prowadzi zrozumienie — nie zaś ślepe posłuszeństwo. Tyranem i krzywdzicielem stanie się ten, który do ślepego posłuszeństwa zaprawiony, dorwawszy się władzy chce znowu z dusz ludzkich, zaledwie do życia zbudzonych dzieci, z których mają wyrosnąć ludzie — uczynić dla woli swojej — ślepe narzędzie. Jest to najcięższe dzieciobójstwo jakie popełnić można — dzieciobójstwo ducha.

Nie wolno wymagać od dziecka posłuszeństwa bez wytłómaczenia mu dla czego ma być posłusznem — bo władać człowiekiem powinna wola nie przymus. Dziecko powinno wiedzieć, że człowieczeństwo zdobywa się zawładnięciem instynktów przez rozum oraz powinno zrozumieć, że silnym jest tylko ten, który umie rozkazywać sobie i nad sobą panować. Ten, który nie siłą swojej prawdy, ale siłą swojej władzy zmusza innych do posłuszeństwa, jest równie słaby, — a często bardzo słabszy od tego, który do posłuszeństwa zmusić się pozwala, pomimo że celu jego nie rozumie.

Wychowanie i nauczanie powinno mieć za główny i jedyny cel — rozwinięcie jak najwszechstronniejsze wszystkich władz duchowych w dziecku, aby stało się silnym i wolnym człowiekiem — silnym przez rozum i opanowanie swoich instynktów — wolnym przez poczucie swojej siły i zdobytej przez siebie prawdy — które uczynią go odpornym wobec każdej przemocy i każdej niewoli, czy ona z zewnątrz, czy z wewnętrznych instynktów pochodzi. Poczucie wolności i siły stanowi wartość życia więc powinno być celem wychowania i nauczania.

Epoka wyzwolenia z barbarzyństwa i prawdziwy postęp ludzkości na drodze cywilizacyi, wyrażającej się stwarzaniem przez człowieka coraz to nowych wartości w sobie i w otaczającym go świecie dla siebie — nie będą możliwymi, dopóki wychowanie i nauczanie młodzieży nie zostanie zreformowane w kierunku poszanowania dla ludzkiej jednostki tak wielkiego by ona sama dla siebie stać się mogła władzą i wolą, naginającą do posłuszeństwa wszystko co staje na drodze jej wolności. Tylko z takich jednostek złożone społeczeństwo może być silnem i wolnem, w którem na każdą jednostkę wskazać można pełnem podziwu i uznania słowem: oto człowiek.

Marya Turzyma.

KOBIETA I OPINIA.

„Mężczyzna może lekceważyć opinią, kobieta musi się z nią liczyć“.

W ciągu nie nazbyt długiego życia mojego zdanie to zdarzyło mi się czytać lub słyszeć może dwieście, a może i trzysta razy, wygłoszone z takiem uroczystem namaszczeniem, z jakiem się zwykle wypowiada absurda, którym się chce nadać obowiązującą moc dogmatów. Nie słyszałem też jeszcze, aby kto zdanie to zaczepiał lub w wątpliwość podawał i prawdopodobnie dla tego uchodzi ono za niezbitą prawdę — niezbitą, ponieważ nigdy nie była zbijana.

Nieomal cały katechizm specyalnie kobiecej moralności składa się z takich utartych komunałów, tem bardziej nietykalnych im mniej w nich jest sensu. Jak suggestya działają one na masy i przekazują się z pokolenia na pokolenie.

W łatwych, spokojnych, normalnych życiowych warunkach, w egzystencyi, którą kieruje wyłącznie zwyczaj i rutyna — często bezmyślna rutyna, — rzadko okazuje się konieczność poddawania ich krytyce lub sprawdzania doświadczeniem życiowem, rzadko też przychodzi w myśl zestawienie wyznawanych teoretycznie zasad, z rzeczywistemi postępkami. Praktyka i teorya płyną obok siebie równolegle, wolnym, spokojnym prądem, niezależne od siebie — to prawda, lecz nie mącące się i nie krzyżujące wzajemnie. Co innego się mówi, co innego się robi, lecz jedno drugiemu nie przeszkadza, bo mówi się to, co mówią wszyscy, a robi się tak, jak ogólny zwyczaj nakazuje.

Dopiero wtedy, gdy jednostka w trudniejszych warunkach życia postawiona, sama musi sobie drogę torować, samodzielnie wybrać sposób postępowania w okolicznościach niezwykłych lub nieprzewidzianych, gdy pragnie istotnie myśl jakąś w czyny swoje przelać i coś na swoją rękę zrobić, przekonywa się, o zupełnej czczości i bezgranicznej płytkości tych komunałów, które jej kazano za obowiązujące prawidła uważać.

Przekonywa się także, jak dalece są one szkodliwe, ile krzywd wyrządzić mogą te gotowe, nieumotywowane wyroki, które się na nich opierają. Na ich podstawie zawsze ospała i bezmyślna większość może myślącą mniejszość gnębić, potępiać i wyklinać. Dla tego też do najważniejszych zadań kobiet samodzielnych i myślących należy podkopywanie wpływu tego rodzaju komunałów przez wykazywanie ich nicości.

Postawmy się tylko w położeniu kobiety, która zawarty w powyższej sentencyi morał pragnie brać na seryo i w życiu go stosować. Póki żyje w ciasnym, zamkniętym kółku sąsiadek i kumoszek wciąż zajętych krytykowaniem swych bliźnich i roztrząsaniem ich postępowania, póki życie jej wy-

pełniają same zwyczajowe, rutyniczne zatrudnienia — póty od biedy może się liczyć z opinią, t. j. z opinią tej paczki osób, wśród których żyje. — Ubiera się tak jak one, chodzi tam gdzie one, mówi tym co one językiem i nie wyróżniając się niczem z tuzina do którego należy, nie ściąga na siebie uwagi, ani krytyki. Jeżeli jednak los zrządzi — a to się zdarza częściej — że wyjrzy po za ciasny krąg swego najbliższego otoczenia, że zetknie się z ludźmi różnych sfer, różnych umysłowych horyzontów i rozmaitego trybu życia, jeżeli przechodzi rozmaite zmiany kolei życiowych, szybko się przekona, że pod wyrazem „opinia“ nie ukrywa się jakiś jednolity trybunał nieomylnie wyrokujący na podstawie pewnych niewzruszonych zasad, lecz cały gwarny hałaśliwy chaos ludzkich głosów często ze sobą sprzecznych, bardzo zmiennych a sporadycznych, odruchowych wykrzykników. Nie stanowią one harmonijnego chóru, lecz jarmarczną wrzawę. Grupy odzywają się grupami, samodzielne jednostki wygłaszają zdania indywidualne. Gdy jedni potępiają, drudzy chwalą; gdy się narazisz jednym, zjednywasz drugich, a często, gdy masz większość przeciw sobie i zdaje ci się, że się wszyscy od ciebie odwrócili, spotykasz małą garstkę ludzi, którzy cię otoczą zblizka i przekonywasz się, że właśnie one stanowić mogą dla ciebie silniejsze, moralne oparcie niż cały szemrzący tłum, który często sam nie wie, o co się gniewa.

„Liczyć się z opinią!“ wołają, ale z jakąż opinią liczyć się należy? Boć inną jest opinia Warszawy a inną Konina lub Poznania, inna w Krakowie a inna w Pacanowie? A w tem samem nawet środowisku inne wyroki wydają ludzie pracy, inne pasożyci, inne panie a inne sługi, inne świat urzędniczy lub ziemiański, a inne świat nauczycielski lub dziennikarski. Inaczej wyrokują młodzi, a inaczej starzy, inaczej bogaci, a inaczej artyści itd.

Nie dość na tem; wyroki opinii nie tylko zależą od tego, kto je wygłasza, ale i od tego także, kto jest ich przedmiotem. Jest przecież tyle okoliczności łagodzących! Kto ma majątek, stosunki, wpływy, protekcye, krzykliwych przyjaciół, zapalczywych a niebezpiecznych wielbicieli — tego srogość opinii nie wiele dotyka. Kto jest sam, stoi o własnych siłach i żyje w trudnych warunkach, ten ma zawsze wiatr w oczy, a sądy bliźnich przeciw sobie. Opinia znęca się głównie nad bezbronnymi a niezmiernie ostrożnie poczyna sobie z tymi, którzy mają jakąśkolwiek władzę w ręku. Jeżeli to jest prawdą o mężczyznach, to w wiele wyższym stopniu jeszcze odnosi się do kobiet. Nienaruszalną jest opinia tych, które mają za sobą ludzi umiejących i mogących je bronić. — Bardzo często korzystne sądy o sobie lub brak sądów niekorzystnych zawdzięczają one silnej pięści męża lub brata, jego wpływowemu stanowisku lub jego stosunkom. W bardzo wielu wypadkach tylko strach knebluje usta plotce.

Te wszystkie postronne okoliczności tak silnie działające na wyroki opinii i modyfikujące ich treść, wywołują także ich zmienność. Ileż razy

zdarza się, że surowe sądy milkną, łagodnieją lub nawet wprost odwoływane bywają z chwilą, gdy podsądny lub częściej jeszcze podsądna odniesie jakiśkolwiek rzeczywisty tryumf w życiu. Powodzenie zmienia wrogów w wielbicieli, a kamienie potępienia w ciastka z kremem. To samo, co dawniej nazywano przestępstwem, nazywa się później heroizmem, co stanowiło najcięższy punkt oskarżenia, staje się tytułem do zasług. Bolesne przejścia i klęski życiowe poczytywane bywają za męczeństwo i ofiarę dopiero wtedy, gdy przeminą. Póki trwają, potęgują nieufność ogółu a ośmielają i rozzuchwalają oszczerców. Opinia ogółu nie tylko daje się bałamucić i olśniewać powodzeniem, daje się ona także po prostu przekupywać pieniądzmi. „Dobre czyny" każą zapominać o złośliwych potwarzach, jeżeli tylko są dość głośne, efektowne i liczą się na grube sumy. Kto wiele ma — temu wiele wolno; kto więcej da — o tym się lepiej mówi. Jestto zasada nie wygłaszana wprawdzie otwarcie, lecz w przeciwieństwie do wielu innych, wznioślejszych, niezmiernie często stosowana w życiu.

Jakże więc liczyć się z tem, co jest samo przez się nieobliczalne? Liczyć się z opinią, znaczy liczyć się z o p i n i a m i, ponieważ zaś bywają one sprzeczne i chwiejne, więc i postępowanie nasze stosujące się do nich musiałoby być zmienne, niepewne, inne dziś, inne jutro, inne w jednym kółku inne w drugiem w myśl zasady: „kiedy wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one".

Ale ten obowiązek krakania między wronami, gęgania między gęsiami, a świergotania między jaskółkami jest dla istoty, która się szanuje, dla kobiety człowieka, wprost wstrętny, jest całkiem niemożliwy do spełnienia. W rezultacie i on nawet nie zawsze prowadzi do celu, bo częste zmiany głosu tonąc mogą wywołać i to, w fazie krakania narażamy się gęsiom, a w fazie gęgania wronom. Kto sobie wszystkich na równi chce zjednać i zbyt wiele w tym celu poświęca, ten czasem skończy na tem, że narazi się wszystkim.

Nie ma więc innej rady, tylko między różnemi głosami trudno uczynić wybór, a zapewne i obrońcy zasad, że kobieta powinna się liczyć z opinią chętnie zgodzą się na zastrzeżenie „z opinią uczciwych i rozumnych ludzi." —

Zapewne, ale któż osądzi uczciwość i rozsądek wyrokujących?

Tylko ona sama. Uczciwymi i rozsądnymi są w naszem mniemaniu ci, co tak jak my myślą, czują, postępują, trzymają się tych, co my zasad i reguł życiowych. Zastrzeżenie to sprowadza całą sentencyą do zera. Można ją zupełnie pominąć lub odwrócić z tym samym rezultatem praktycznym: „Licz się tylko z opinią ludzi rozumnych i uczciwych" — albo „Nie licz się wcale z opinią tylko z własnym rozsądkiem i sumieniem" — wychodzi właściwie na jedno. To ostatnie nawet jest wiele prostszem i łatwiejszem bo zwalnia nas od różnych badań, przewidywań, porównań i zestawień, zre-

sztą w ostatecznym rezultacie zupełnie zbytecznych i nie prowadzących do niczego.

Taż sama zasada w równej mierze zresztą stosuje się do mężczyzn i do kobiet. Dla ludzi słabych i bezmyślnych opinia stanowi pewnego rodzaju wspólne sumienie tłumów, grup społecznych lub kółek towarzyskich, lichszy surogat sumienia indywidualnego, gdyż jest bardzo miernym, chwiejnym i niepewnym przewodnikiem w życiu.

Dla czegoż właśnie indywidualność kobieca ma się tak ślepo i biernie temu kierownikowi poddawać? Czy on dla niej jest łaskawszym i większą jej pieczołowitość okazuje? Bynajmniej; jedyna racya, która zatem przemawia jest właśnie ta, że on jest dla niej surowszym i bezwzględniejszym, że dla niej właśnie ma najsroższe kary, narzędzia najdotkliwszych tortur. Sprawiedliwa czy nieuczciwa, mądra czy głupia, szlachetna czy nikczemna opinia gnębi całym swym ciężarem kobietę, podczas gdy mężczyznę może co najwyżej krępować lub prześladować. — Mężczyzna może być przez nią odsunięty, kobieta wyklętą. Mężczyzna może się rehabilitować sam, kobietę ludzie lub okoliczności. Liczyć się z opinią nie jest więc bynajmniej jej obowiązkiem przeciwnie — niejednej nikczemności mogłaby czasem uniknąć, gdyby się z nią nie liczyła, — leży to tylko w jej interesie — i to w wyższym stopniu niż w interesie mężczyzny. To pięknie i wzniośle brzmiące przykazanie jest właściwie tylko sformułowaniem bardzo nizkiego egoizmu i podniesieniem go do godności zasady. Od drobnych podłostek do przerażających zbrodni — większość kobiecych przewinień bierze źródło w tej konieczności liczenia się z opinią. Różne fałsze, kłamstwa, zdrady, obłuda, komedya codziennego życia, nie mniej niż podrzucenie i dzieciobójstwa popełniane bywaja ze strachu przed sądem świata. Jest to może najbardziej demoralizujący czynnik w świecie kobiecym.

Dla czego jednak tak się dzieje? Czy nie dałoby się to zmienić? W czyjem ręku leży zrzucenie tego ciężaru i ucisku, który gubi w tak wysokim stopniu całą połowę społeczeństwa ludzkiego? Przeważnie w ręku kobiet samych. One to właśnie stanowią najsilniejsze oparcie dla tych bezwzględnych, surowych a płytkich i bezmyślnych sądów, które szafują na prawo i na lewo wyrokami potępienia i każą niejednej brać czynny udział w kamieniowaniu dla zaświadczenia, iż ona jest bez grzechu. Kobiety wspólnemi siłami gorliwie kręcą powrozy, każda w przekonaniu, że nie ona na nich wisieć będzie. Wogóle jednak głosują za wieszaniem i zwyczaj wieszania tradycyjnie utrzymują. Gdyby cokolwiek poważniej i trzeźwiej patrzały na życie, gdyby ich zmysł krytyczny raz nareszcie zbuntował się przeciw niedorzecznościom, któremi je od wieków karmią jako najodpowiedniejszą dla nich — lecz tylko dla nich strawą, gdyby poczucie godności ludzkiej i godności kobiecej wzrosło, a zmysł solidarności skłonił je do zbiorowej samo-

obrony, możeby nareszcie zmniejszyła się ilość bezbronnych ofiar, które pod gradem kamieni potępieńczych padają. Byłaby to jedna z najważniejszych reform etycznych, które świat zawdzięczałby kobietom. Byłby to jeden z najcelniejszych tryumfów równouprawnienia i sprawiedliwości wogóle.

I. Moszczeńska.

POŁOŻENIE LWOWSKICH ROBOTNIC CHRZEŚCIJAŃSKICH.

8. Kwieciarki (robotnice, trudniące się wyrobem sztucznych kwiatów).

Tylko pośrednio dowiadujemy się o położeniu tych robotnic i to bardzo pobieżnie, bo z ust przedsiębiorczyni, która z natury rzeczy z innego punktu widzenia i w innem oświetleniu widzieć będzie sprawę.

Z drugiej strony wciąż uczuwać się daje brak planu w stawianiu pytań przez członków ankiety, tak, że o gałęzi wytwórczości, która skądinąd nie jest nam znana, słabe tylko z ankiety powziąć możemy wyobrażenie.

A szkoda, bo ekspertka, zdaje się dość była inteligentna i znała przemysł kwiatowy. Bylibyśmy mogli od niej dowiedzieć się, jakie są warunki rozwoju i istnienie tego przemysłu, jakie rozmiary jego u nas. Wszak sztuczne kwiaty powszechnie są używane, import takowych ogromny.

Nauka robienia kwiatów sztucznych trwa, wedle zeznań tej ekspertki, trzy lata. Takiego czasu potrzeba, aby nabyć odpowiedniej wprawy do tej roboty, a wprawa zdaje się, jest tu prawie wszystkiem. Tylko roboty „toaletowe“ wymagają pewnego smaku artystycznego, którego niezawsze nabywa się przez naukę. Najtrudniejszą, a raczej najcięższą pracą jest wybijanie, potrzeba tu siły fizycznej, której niezawsze znajdzie panienka kwiaty robiąca. Toteż przedsiębiorczyni w pierwszych latach swego przedsiębiorstwa nie „obarczała tem panien“ swoich, robiła to sama, a nawet przez dłuższy czas powierzała tę robotę s t r ó ż o w i, ale gdy czasy pogorszyły się, zmuszoną była oddać pannom tę ciężką robotę. Naturalnie, że za to nie płaciła więcej robotnicom, wszak czasy na to nie pozwalały.

Wogóle stosunek przedsiębiorczyni do robotnic jej, dość był patryarchalny, nie ważyło się i mierzyło usług wzajemnych. Będąc „plus catolique que le pape“, jak zeznaje sama, „dla własnej wygody“ urządziła sobie krótki, na stosunki nasze, d z i e ń r o b o c z y, bo od 9. zrana, do 6. wieczorem z półtoragodzinną przerwą na obiad. Gdy dzień ten w czasach gorętszych przedłużać musiała do 8 godziny, lub gdy panny brały robotę do domu, nie płaciła nic za ten nadczas, wynagradzała to robotnicom swoim w inny sposób, biorąc je do teatru lub na wieczorki. Jakie stosunki panują w fabrykach, gdzie mniej zżyły się przedsiębiorczynie z robotnicami, nie dowiadujemy się.

Nie przepłacała też owa pani robotnic swoich, jakkolwiek nie przestaje podnosić zażyłości swojej z pracownicami „swojemi“. Chcąc je przywiązać do pracy, płaciła im już od pierwszej chwili, podczas nauki. Płaca ta wynosiła w pierwszym roku **2 złr.** (!) miesięcznie, a z końcem trzeciego **5 złr.** miesięcznie. Pracownice wyuczone brały od **8** do **18 złr.** Gdy jednak jedna zamężna robotnica, chciała odejść, bo mąż nie pozwalał jej pracować, podniosła jej płacę na **guldena** dziennie, gdyż „lubiła“ ją bardzo i tem „nie do odrzucenia“ podniesieniem jej płacy, przywiązała ją do roboty. Nie zdradza nam przedsiębiorczyni, czy traciła w następstwie na robotnicy tej, nam jednak zdaje się, co zupełnie zresztą byłoby naturalnem, że byłaby się starała pokonać swoją sympatyę, gdyby za drogo była ją kosztowała. Robotnica pewnie zasłużyła na płacę swoją a stąd wskazówka, że i w naszych warunkach płaca robotnic mogłaby być znacznie wyższą, co wyszłoby na obustronną korzyść. Właśnie w chwili, gdy panie nasze podejmują pracę około „uprzemysłowienia“ kraju przez wprowadzenie nowych lub ożywienie istniejących już gałęzi przemysłu kobiecego, warto uprzytomnić sobie prawdę, że patryarchalno-serdeczne stosunki między pracodawczynią i pracobiorczynią mogą rozpoczynać się dopiero poza warstatem i fabryką. Tu znaczyć go winny porządna płaca i to pieniądzmi nie bynajmniej częściowo pieniądzmi a częściowo in natura, jak przyjemnościami i przyjaźnią, ze strony pracodawczyni, a sumienną pracą ze strony pracobiorczyni. Jeśli poza tem istnieje między obiema stronami jeszcze miłość, przyjaźń i ufność, to wtedy uczucia te są niepodejrzane i bezinteresowne.

Mało dowiedzieliśmy się o prywatnych stosunkach robotnic kwiatowych, ale ponieważ pochodzą mniej więcej z tych samych sfer, co już wymienione w poprzednich artykułach robotnice te, wobec płacy, jaką otrzymują, przyjąć można, że mieszkają, odżywiają się i mają takie same potrzeby kulturalno-intelektualne, a raczej tak samo nie mają takowych, jak tamte.

9. Pomocnice sklepowe.

Mało bardzo, nic prawie nie powiada nam ankieta o położeniu pomocnic sklepowych. A przecież Lwów liczy tych pracownic tak chrześcijanek jak i żydówek sporo setek! Księgarnie, sklepy galanteryjne, sklepy bławatne, „sprzedaże papierów“, sklepy konfekcyjne, „bazary“, trafiki i t. p. i t. p. zatrudniają kobiety w dużej ilości bądź to w charakterze kasyerek, bądź do sprzedaży, lub też jako t. z. „probier mamzell’e“, płacąc im w stosunku do płacy pomocników handlowych bardzo mało, a każąc im pracować jeszcze poza oficyalnemi godzinami pracy, trwającemi od 7—8 zrana od 8-9 wieczorem, do 10—11 godziny w nocy. Ileżby panny te były mogły opowiedzieć ankiecie o warunkach pracy i życia swego, o strasznym wyzysku ich sił i nieświadomości, o wymaganiach, które stawiają dla nich chlebodawcy, żądający w zamian za niską płacę eleganckiego presentable stroju i sztuki

zdobywania „kundmanów“. Opuszczono także szeregi całe robotnic, pracujących w restauracyach, kawiarniach, mleczarniach, w warunkach najstraszniejszych.

„Sklepowe“ reprezentowały na ankiecie dwie przedstawicielki, których zeznania prawie żadnego światła nie mogły rzucić na położenie tak ogromnej rzeszy robotnic we Lwowie. Jedna, dziś krawczyni, była jeszcze przed 15 laty (!) w sklepie, gdzie sprzedawano makaran, brała tam 15 złr. miesięcznie, które, jak zeznaje, nawet na owe czasy nie mogły jej wystarczać; druga zaś od kilku miesięcy była w mleczarni, w której, zdaje się sprzedawano tylko mleko (nie było to więc nawpół przedsiębiorstwo restauracyjne), dostawała za to 10 złr. i 3 cnt. od każdego sprzedanego litra mleka oraz 1 l. mleka dziennie, co razem wynosiło około 20 złr.

O innych koleżankach podobnie zajętych nic mówiły owe ekspertki, skądinąd jednak wiemy, że na kilkaset panien sklepowych zaledwie kilka żydówek należy do stowarzyszenia zawodowego „pomocników handlowych“, że duża ich część nie jest wcale zapisana do kasy chorych, gdyż same nie rozumieją doniosłości tego, a przedsiębiorcy nie zgłaszają ich; że ciężka praca nie pozwala im wyjrzeć na świat boży, zrozumieć własnego położenia i dźwignąć się na ztanowisko, skąd poczynamy myśleć o jego poprawie. Toteż dotychczas wszelkie próby zorganizowania tych dziewcząt w zawodowem stowarzyszeniu, lub wciągnięcie ich do stowarzyszeń męskich już istniejących, natrafiało na wielkie trudności, tembardziej, że przedsiębiorcy i przedsiębiorczynie, gdy zwietrzą tylko próbę taką, grożą zaraz wydaleniem i szykanami.

W interesie pomocników handlowych jest pomódz tym ruchliwszym koleżankom, które usiłują organizacyę taką stworzyć. (D. c. n.)

Dr. Salomea Perlmutter.

Dr LEON BROSS.

O NAJCZĘSTSZYCH PRZYCZYNACH PŁACZU I NIEPOKOJU NIEMOWLĄT I O ICH ZAPOBIEGANIU

(4 LISTY).

Kochana pani M...

Życzy sobie Pani, bym coś napisał o sztucznem karmieniu, dla zaokrąglenia obrazu wychowania niemowlęcia, zwłaszcza, że to tak ważna rzecz wobec faktu, że w obecnych czasach, znaczna ilość matek nie może sobie pozwolić na karmienie swych dzieci, mimo posiadania wszelkich ku temu warunków, bo muszą iść wspólnie z mężem na zarobek, dla utrzymania rodziny a możność utrzymania mamki jest u nich w tych warunkach wprost wykluczoną.

Wobec tego, że sztuczne karmienie jest dość rozpowszechnione, pouczenie o tem jak ono powinno się odbywać jest i z tego względu, bardzo ważne, że o ile największa liczba chorób przypada wogóle na błędy w karmieniu, to znów te błędy najczęściej się robi przy sztucznem żywieniu, zwłaszcza, że sposobności ku temu jest przy tym sposobie chowania najwięcej.

Dość przypomnieć raz jeszcze, że śmiertelność u sztucznie karmionych wzrasta w lecie, a więc w czasie, gdy najłatwiej zbłądzić, 20 krotnie, podczas gdy u inaczej karmionych tylko 10 krotnie.

Gdy nie można dziecka karmić naturalnie, to jest mlekiem matki, gdy nie da się go zastąpić mlekiem istoty tego samego gatunku, mianowicie pokarmem mamki, trzeba przejść do mleka krowy, ono bowiem będzie, mimo odmienności w wielu punktach, pod wieloma względami do ludzkiego zbliżone.

Rzeczywiście co do zawartości głównych składników oba mleka w zasadzie się nie różnią. Oba posiadają wodę, białko, zwłaszcza w postaci t. z. sernika, tłuszcz i cukier, tylko że mleko krowie ma tego białka więcej i trudniej dla niemowlęcia strawnego, i że ma za mało cukru, nie mówiąc o innych mniej ważnych różnicach.

Otóż te błędy trzeba przed podaniem dziecku mleka poprawić, a robi się to w ten sposób, że się mleko rozcieńcza, wtedy będzie białka mniej, ale i cukru będzie jeszcze mniej a więc trzeba tego cukru dodać. Ażeby zaś to białko zrobić strawniejszem również trzeba coś zrobić. W ten sposób skład mleka i jego strawność do pewnego stopnia się poprawi.

Ale mleko krowie ma drugą złą stronę w skutkach swych bardzo zgubną. Mleko matki jest wolne od bakteryi, co najwyżej mogą się one znajdować w pierwszych kilku kroplach, i te można dla bezpieczeństwa odstrzyknąć zawsze. Mleko krowie ma niezmiernie wiele sposobności do zanieczyszczenia się. Najpierw w miejscach gdzie się je doi, częściowo z nieczystych wymion lub naczyń, do których się je zbiera. Dalej wlewa się je do innych naczyń, w których przychodzi mleko do miasta. W mieście ono znów wędruje do innych naczyń i t. d. Dla tego o ile się da trzeba się postarać o mleko z czystego gospodarstwa, i samemu kupić je do czystego naczynia, a co najważniejsze kupować mleko jaknajwcześniej rano, i szybko przegotować z tego powodu, że bakterye dostające się do mleka mnożą się w niem bardzo szybko, można je jednak zniszczyć przez gotowanie mleka, bo one przy wyższej ciepłocie giną. Im wcześniej więc kupimy mleko tem mniej będzie w niem bakteryi, a jeżeli takie mleko też zaraz wygotujemy, to wtedy zawarte już w nim zniszczymy. Tu mogłaby Pani zadać pytanie. Jeżeli bakterye przez gotowanie giną, to czemu spieszyć się z kupnem mleka, i jego wygotowaniem? Na to mogę odpowiedzieć, że bakterye w tem mleku nietylko się rozmnażają, ale co ważniejsze wytwarzają trucizny (toksyny), które przez wygotowanie nie dadzą się zniszczyć, dla tego później mleko po wygotowaniu będzie pozbawione bakteryi, ale nie trucizn, które te bakterye wytworzyły, jasne więc, że im szybciej dostaje się mleko po wydojeniu, im szybciej się je wygotuje, tem ono jest bezpieczniejsze dla dziecka.

Nasuwa się teraz pytanie, czy mleko wygotowane już jest stale od zepsucia uchronione. Nie, ponieważ bakterye wytwarzają prócz trucizn tak zwane „spory", są to młode bakterye, niby jaja złożone przez bakterye. Otóż te spory również nie niszczeją pod wpływem gorąca i mogą się w danych warunkach rozwinąć na bakterye dorosłe. Jak temu przeszkodzić? Otóż można to w ten sposób zrobić, że się daje mleko wygotowane do zimnego miejsca, a wtedy te spory w niskiej ciepłocie nie zdołają się rozwinąć, i mleko będzie czyste.

Oto ogólne uwagi co do karmienia. Przechodząc do szczegółowych muszę zaznaczyć, że metod sztucznego karmienia jest niezmierna ilość, częściowo opartych na ścisłych badaniach, częściowo zalecanych wielką reklamą przez rozmaite fabryki, którym zależy na tem by robiły interesa. Wogóle muszę tu jednak zaznaczyć, że karmienie niemowląt tak zwanemi mączkami jest w pierwszych 6 miesiącach stanowczo nieodpowiednie. Stosunkowo najprostszemi, najbezpieczniejszemi i najtańszemi są metody oparte na rozcieńczeniu mleka i na podniesieniu w pewien sposób jego strawności.

Ja osobiście mógłbym polecić następujący sposób jako jeden z najtańszych i zupełnie odpowiedni.

I tak radzę kupić bardzo wczas rano mleko (co dzień świeże), natychmiast je wygotować i rozcieńczyć wodą w ten sposób przyrządzoną. Bierze się 1½ litra wody, gotuje ją aż do wrzenia i z początkiem wrzenia sypie się do niej łyżeczkę od kawy mączki owsianej (najlepiej odpowiednio przygotowanej już mączki Knorra) i daje się wrzeć około pół godziny, od czasu do czasu mieszając. Po pół godzinie powstaje kleik, który należy

przecedzić przez bardzo czystą szmateczkę (nie gęstą) do bardzo czystego naczynia.

Chodzi teraz o to, jak tym płynem mleko rozcieńczyć. Doświadczenie wykazało, że niemowlęta w pierwszych dwu miesiącach znoszą rozcieńczenie tego rodzaju, że na jedną część mleka przypadają trzy części wody. Ponieważ dziecko potrzebuje do wyżywienia, tej mieszaniny około 800 gramów na dobę, (litr ma 1000 gr. a zatem dziecko spotrzebuje przez dzień mniej jak litr tego mleka) przeto trzeba wziąć 200 gramów mleka i 3 razy tyle wody t. j, 600 gr co razem stanowi 800 gramów.

Jak sobie poradzić, by te ilości gramów odmierzyć? Otóż do tego może służyć naczyńko, na którem są podziałki oznaczające gramy jak 100, 200, 300 gr. i t. d., ale można sobie i bez takiego naczyńka poradzić.

Radzę wogóle, by całą ilość mleka rozcieńczonego wodą wlać do osobnej flaszeczki 1½ litrowej, by jaknajmniej naczyń używać. Ażeby zaś nie trzeba codziennie wymierzać ile do takiej flaszeczki wlać mleka, a ile wody, dobrze najpierw raz jeden odmierzyć i zapamiętać sobie. To wymierzenie można także uskutecznić za pomocą flaszeczki aptecznej, na której zwykle u spodu są uwidocznione liczby 100 lub 200 i t. p. oznaczające ilość gramów, jaka się w tej flaszeczce mieści.

Jakież środki ostrożności są potrzebne, by ta mieszanina się nie psuła? Oto [1]) powinna flaszka, w której się przygotowuje mieszaninę być przed każdem ponownem użyciem porządnie wyparzoną najpierw wodą ciepłą, potem gorącą. [2]) Powinno się ją po napełnieniu zaraz postawić do zimnego miejsca, a więc nie może stać w pokoju. [3]) Powinno się ją zatkać nie szczelnie korkiem, lecz bardzo luźno c z y s t ą w a t ą, tyle tylko, by kurz z zewnątrz się nie dostał. [4]) Szmateczka przez którą się cedzi kleik winna być zaraz po użyciu wypraną czysto.

Jak już powiedziałem przez rozcieńczenie zmniejsza się ilość cukru, którego jest i tak mniej w mleku krowiem, trzeba ten brak usunąć, a można to w ten sposób zrobić, że dodamy cukru miałkiego do tego rozcieńczenia 6 łyżeczek kawowych.

Dziecku na jeden raz potrzeba dać 100 gramów na porcyę. By tego nie mierzyć codziennie trzeba również raz odmierzyć w znany już sposób i zapisać ile to cm. Najodpowiedniejszą flaszeczką z której należy dziecko karmić jest taka, która ma krótki smoczek. Te które mają długą rurkę idącą do dna są bezwarunkowo złe, ich dokładne wyczyszczenie zwłaszcza, tej rurki jest prawie niemożliwe. Przeciwnie przy zwykłym smoczku idzie to bardzo łatwo, bo jest szeroki.

Nim podamy dziecku mleko trzeba je zagrzać. Najłatwiej urządzić to w ten sposób, że się wstawia flaszeczkę, z której dziecko ma pić z nalaną odpowiednią ilością mleka do gorącej wody. W 5 minut mniejwięcej jest już mleko na tyle ciepłe, że można je niemowlęciu podać.

Aby mleko się podczas picia szybko nie chłodziło dobrze oblec flaszkę pończoszką zrobioną na ten cel z włóczki. Przy p danıu trzeba uważać na to, by się nie wlewało zbyt wiele na raz i dziecko się nie zachłystywało. Po wypiciu odpowiedniej ilości mleka trzeba natychmiast flaszeczkę dobrze wypłukać i smoczek również. To samo radzę powtórzyć przed użyciem flaszeczki.

Jak powiedziałem potrzeba dać naraz dziecku 100 gr., czyli ponieważ mamy przez dzień dać 800 , to przygotowane mleko wystarczy na 8 razy. Trzeba je podać nie częściej jak co 3 godziny, bo dopiero w tym czasie mleko poprzednie może być strawione.

Takie jest rozcieńczenie dla pierwszych 2 miesięcy. W ten sposób można przygotować i dla dalszych miesięcy. I tak niemowlę potrzebuje od 2—4 miesiąca 350 gr. mleka i 700 wody, czyli 1 część mleka i 2 razy tyle wody, nadto 7 łyżeczek cukru. Pojedyncze porcye wynoszą po 150 gr. mieszaniny.

Od 4—5 miesiąca 500 gr. mleka i 500 gr. wody, czyli 1 część mleka i jedna część wody, do tego 8 łyżeczek cukru. Porcye naprzemian po 180 gr. i po 150 gr.

Od 5—9 mniejwięcej trzeba 750 gr. mleka a 350 wody, czyli 2 części mleka, a jedną część wody, do tego 10 łyż. cukru. Porcye naprzemian po 180 gr. i po 200 gr.

Po 9-tym miesiącu przeszło litr prawie, że wcale nie rozcieńczonego mleka z dodatkiem 10 łyżeczek cukru. Porcye po 250 gr. mieszaniny.

To co tu mówię o ilościach mleka w rozmaitych czasach nie da się naturalnie do każdego przypadku bez zastrzeżeń zastosować, bo to jest pewne, że dziecko dziecku nie równe. Ma to być tylko ogólnym drogowskazem. Zdarza się bowiem, że czasem trzeba rozcieńczenie wcześniej zmniejszyć, innym razem, że trzeba dłużej przy jakimś rozcieńczeniu pozostać, bo dziecko nie znosi jeszcze gęstszego pokarmu.

Tak mniejwięcej przedstawia się owo sztuczne żywienie. Jak Pani widzi zachodu dość, ale ma to za sobą, że mogą się zdobyć na nie nawet najbiedniejsi. Że n. p. matki, które muszą iść do roboty mogą je rano łatwo na całą dobę przygotować, a udzielenie porcyi i ogrzanie mleka przed każdem użyciem, każdemu kto przy dziecku zostaje powierzyć, byle tylko ostro nakazać, żeby trzymać się ściśle przerwy 3 godzinnej między jednem a drugim karmieniem — a przedewszystkiem czystości.

Oto co można najważniejszego powiedzieć o sztucznem karmieniu. Jeżeli przejdziemy w myśli wszystkie sposoby karmienia, to zobaczymy, że najnaturalniejszym a więc najodpowiedniejszym jest pokarm matki, że ten pokarm zawiera najmniej niebezpieczeństw, że po części tylko dorównywa mu pokarm mamki. W końcu przyjdziemy do przekonania, że najmniej odpowiednie jest karmienie sztuczne, bo wymaga może najwięcej zachodu, podczas gdy pokarm matki jest już gotowy, a co ważniejsza zawiera w sobie największą ilość niebezpieczeństw dla dziecka i wymaga dlatego najwięcej ostrożności.

Kończę z prośbą, żeby mi Pani wybaczyła, jeżeli te listy drukiem ogłoszę mimo, że one są prywatne. Spodziewam się, że Pani nie będzie miała nic przeciw temu, aby inne matki ze wskazówek tych skorzystały.

Z głębokim szacunkiem

Dr. X.

KRONIKA.

Objawy ruchu kobiecego w Czechach. Kwestya przymusowego celibatu nauczycielek od dawna zajmowała kobiety czeskie, wywołując nieraz żywy protest przeciw temu niesłusznemu prawu. W tym roku jednak sprawa ta przybrała szersze rozmiary. Zajęły się nią przedewszystkiem nauczycielki, zgrupowane w „Głównym Związku Nauczycielek“, domagając się energicznie zniesienia celibatu. Na ostatniem posiedzeniu wymienionego Stowarzyszenia prowadzono nadzwyczaj ożywioną dyskusyę, odczytano listy kobiet, w których wypowiadały swe zapatrywanie na celibat nauczycielek. Nie wszystkie są za zmianą dotychczasowego prawa. Większość jednak przyjęła rezolucyę, w której postawiono żądanie, umotywowane słusznymi dowodami, ażeby nauczycielki i po wyjściu za mąż, o ile zechcą, mogły się nadal poświęcać pracy pedagogicznej. Również domagają się czeszki tego, ażeby ex-nauczycielki-mężatki mogły otrzymać przynajmniej wkłady, jakie złożyły na swą emeryturę.

Grono postępowych morawianek usilnie pracuje nad wywalczeniem gimnazyum żeńskiego na Morawach. Dla bliższego omówienia całej tej sprawy, dla rozwinięcia agitacyi zwołały zjazd kobiet czeskich do Berna Morawskiego na Zielone Świątki.

„Zensky wyrobni spolek“ — t. j. szkoła rzemiosł dla kobiet, istniejąca w Pradze od 32 lat, urządziła 16 maja doroczną wystawę prac swych 700 uczennic.

Na wystawę złożyły się suknie, bielizna, kapelusze, haft biały, kolorowy, wyszywanie na kanwie, roboty szydełkowe, kwiaty sztuczne, rysunki, trochę okazów z działu malarstwa, wreszcie zeszyty z zadaniami matematycznemi, księgi rachunkowe uczennic buchalteryjnego kursu. Wśród wielkiej ilości wystawionych prac znacznie przeważał krój. Czeszki na polu pracy rzemieślniczej trzymają się utartej drogi. To też najwięcej poświęcają się igle.

Należy jeszcze zwrócić uwagę, że wszystkie okazy wystawowe były staranne odrobione, ale bez najmniejszego artyzmu, bez gustu: wszystkie na jedną modłę.

Przed kilkoma tygodniami zmarła w Pradze młoda, bo 24 lat dopiero licząca artystka-malarka M. Dostalówna. Z urządzonej wystawy jej prac sądzić można, że zmarła odznaczała się nie tylko wybitnym talentem, lecz i ogromną pracowitością. Tyle pięknych namalowała krajobrazów — krajobrazów słonecznych, z prześlicznemi brzozami i wodą kryształową — takich wdzięcznych, spokojnych, owianych tchnieniem prawdziwej poezyi. *Jk. Rc.*

Przed kilkoma tygodniami obchodzono uroczyście w Petersburgu 25-lecie pierwszego otrzymania dyplomów lekarskich przez kobiety, studyujące medycynę na byłych żeńskich kursach medycznych.

Z okazyi jubileuszu tego odbył się w sali restauracyi „pod Niedźwiedziem“ wielki obiad, do którego zasiadło liczne grono złożone z jubilatek, przedstawicieli i przedstawicielek śmietanki rosyjskiej inteligencyi oraz osobistości wpływowych, najwyższe zajmujących w kraju stanowiska i urzędy. Nie brakło tam ani ministra oświaty Zengera, ani towarzysza ministra Łukjanowa, ministra rolnictwa Jermołowa, akademika Mierzejewskiego, lejb-pedjatry Rauchfussa, lejbmedyka Ajkanowa, prezesa rady lekarskiej Anrepa, ani wielu, wielu innych. Podczas obiadu wygłoszono liczne mowy i toasty, najciekawszem zaś (i... najmniej spodziewanem) było przemówienie ministra oświaty, który podniósł i podkreślił ważność roli kobiet-lekarzy oraz wyraził nadzieję, że obecne słuchaczki wznowionych kursów żeńskich pójdą za przykładem pionierek na tem polu. Na końcu dodał jeszcze minister, że działalność kobiet-lekarek należycie została oceniona przez ogół, który z całem zaufaniem do nich się zwraca. Akademik Mierzejewski zaznaczył, że kobiety lekarki pracują z wielkim pożytkiem, nietylko na niwie praktycznej, ale i ściśle naukowej, czego wymowną ilustracyą są prace doktorki Tarnowskiej z dziedziny antropologii przestępców, prace, jakim równych niema nietylko w Rosyi, ale w całej Europie.

W końcu bankietu wysłano depesze do feldmarszałka hr. Milutina, oraz do pani Jermołowej, matki ministra rolnictwa, byłej honorowej inspektorki żeńskich kursów medycznych.

Miesięcznik „Russkaja Myśl“, z którego wiadomość tę czerpiemy, komentując przebieg uroczystości, wyraża zadowolenie, że idea szerzenia fachowej znajomości medycyny wśród kobiet coraz szersze zyskuje poparcie ze strony sfer rządowych, zarazem jednak zaznacza z żalem, że w życiu rzeczywistem słabe są zaledwie ślady przejęcia się władz potrzebą kobiet-lekarek. Dowodem tego jest jeden jedyny instytut lekarski kobiecy na całą Rosyę, pomimo olbrzymiego napływu kandydatek. W r. 1902 podano 819 prośb, niepodobieństwem zaś, z powodu braku miejsca, było przyjęcie liczby większej nad 332. — Rozumie się, że najlepszem rozstrzygnięciem kwestyi byłoby otworzenie dla kobiet wszystkich istniejących w Rosyi uniwersytetów, tak jak się to praktykuje na Zachodzie. Dopóki jednak idea ta nie zyskała praw obywatelstwa, myślą kobiety o założeniu drugiego instytutu medycznego żeńskiego w Moskwie i w tym celu zorganizowały stowarzyszenie, którego zadaniem jest gromadzenie niezbędnego funduszu. Dodać należy, że petersburski instytut utrzymywany jest wyłącznie z funduszów prywatnych, oczywiście nie wystarczających na opędzenie kolosalnych potrzeb. To też uniwersytet uposażony jest bardzo skąpo w kliniki i laboratorya.

Nagabywany przez uczestników jubileuszowego bankietu, przyobiecał minister oświaty wniesienie do rady państwa projektu przyjęcia i utrzymania żeńskiego medycznego instytutu na koszt rządu, co byłoby olbrzymiem dla instytucyi tej ułatwieniem i wielkim krokiem naprzód. *x.*

Szkoła przemysłu domowego. Pomimo zdobycia sobie wielu pól działalności zarobkowej, kobieta klas średnio-zamożnych i biednych zmuszoną jest dużo bardzo swego czasu poświęcać zajęciom gospodarskim: gotowanie, pranie, szycie itp. stanowi bardzo ważną część zajęć kobiety tych klas.

Może w przyszłości ogólnie wprowadzone zostaną w życie, tak jak to po części jest już w wielu stolicach, wspólne dla jednej a nawet kilku kamienic pralnie, kuchnie itp.

gdzie po kolei członkinie tych wspólnych urządzeń zajmować się będą gospodarstwem dla całości — wtedy może podział pracy będzie tak posuniętym, że znajomość tajemnic kuchennych potrzebną będzie pewnej tylko części kobiet, specyalistek. Z drugiej jednak strony mało to ma szans praktycznego zastosowania na szeroką skalę z tego chociażby względu, że wszyscy należący do pewnej zjednoczonej grupy musieliby jednego dnia np. jeść jedno i to samo, boć niepodobnaby było tak jak w pojedynczych domach, zważać na poszczególne gusta: wogóle ograniczyłoby to drogie dla każdego: „Wolnoć Tomku w swoim domku“.

Słusznem mi się więc wydaje postanowienie popierania nauki gospodarstwa domowego w szkołach żeńskich, jakie powzięto na ostatniem zebraniu „Niemieckiego Tow. szkolnej hygieny“ w Weimarze.

Z wielu względów hygienicznych pożądanem jest systematyczne nauczanie gospodarstwa domowego w szkołach żeńskich: pszyszłe gospodynie uczą się zdrowego przyrządzania pokarmów, dyetetyki dziecięcej i innych rzeczy, co bezwarunkowo odbić się musi na ogólnej zdrowotności.

Z obrad wyżej wspomnianego Towarzystwa dowiadujemy się, że w wielu miastach w Niemczech i w innych krajach istnieją już wzorowe kursa gospodarstwa domowego, wykładane praktycznie.

W Belgii od roku 1862 przy instytutach, kształcących nauczycielki, istniały tego rodzaju kursa, a niedawno uzupełniono je zajęciami praktycznemi, które mają jeszcze i tę zaletę, że stanowią pożądany dla umysłu odpoczynek.

W Paryżu i wogóle w całej Francyi, w Anglii i w Szwecyi — wszędzie istnieją podobne kursa i rozwijają się doskonale.

Wzorowo urządzone są te kursa w Szwajcaryi a szczególniej w Zurychu, gdzie największą uwagę zwraca się na zajęcia praktyczne, wykonywane własnoręcznie przez uczennice a kierowane przez nauczycielki.

Kursa obejmują całokształt gospodarstwa domowego:

1. Dokładne zaznajomienie się z materyałami spożywczemi, poznanie ich wartości spożywczej, przechowywanie pokarmów, rozpoznawanie fałszerstw w materyałach spożywczych. Przytem szczególną uwagę zwraca się na materyały tańsze, dostępne dla ogółu ludności, stanowiące jej codzienną strawę.

2. Podstawy nauki o odżywianiu, przemiana materyi z zastosowaniem odżywiania się do wieku, stanu zdrowia, rodzaju zajęcia i pory roku.

3. Umiejętność prowadzenia rachunków, pranie i hygieniczne utrzymywanie mieszkania.

4. Pierwsza pomoc w nieszczęśliwych wypadkach; wogóle pierwsze zasady pielęgnowania chorych.

Mojem zdaniem, wykłady te, a szczególniej praktyczne zajęcia bardzo są pożądane i wielka szkoda, że ich niema w naszych szkołach, pensyach i gimnazych. Kurs tak ciekawy i pożyteczny, że każdemu przydałby się.

W Zurychu i w innych miastach praktyczne zajęcia nprz. w gotowaniu itp. odbywają się grupami. Każda grupa, składająca się z 4—6 uczennic ma swoją kuchenkę, stół itp. i pod przewodnictwem nauczycielki przyrządza cały obiad, który sama spożywa, o ile, rzecz prosta, nie grozi to przykremi następstwami, jak to w początkach nauki zdarzać się może.

Gdyby to jeszcze te kursa mieściły się zdala od miast, od kurzu i dymu — byłyby dobrodziejstwem!



EDWARD LESZCZYŃSKI.

ZŁOTA MUZYKA.

Taki król, taki pan,
Taki pan godowy —
Kiedy szedł, to jak łan
Kłonią mu się głowy.

Taki pan, taki król
W szacie purpurowej
Przemógł śmierć, przemógł ból
— Taki pan godowy.

Dzieweczka tuli twarz do szyby
i patrzy w zachód słońca.

Któż go zna? któż jak on?
Śnili go szaleńce —
Twarz ma w łunach, z winnych gron
Złocą mu się wieńce.

Z jakich ziem? z jakich stron?
W jakiej zrodzon męce?
Z nieboskłonu aż po skłon
Rozprzestrzenił ręce.

Dzieweczka tuli twarz do szyby
i patrzy w zachód słońca.

I tak szedł i tak rósł,
Nad świat wydźwignięty;
Dzwon błękitu w ręce wzniósł
Złotem rozśmiechnięty —

Dzieweczka tuli twarz do szyby
i patrzy w zachód słońca.

I rozhuśtał w niebie słońce
W złotodźwięczne bicie —
Kołysało się w błękicie
Rozhuśtane słońce.

Dzieweczka tuli twarz do szyby
i patrzy w zachód słońca.

Serce dzwonu, serce króla
Dzwoni hymn potęgi,
Hen, po gwiazdach się rozhula
W złotodźwięczne kręgi.

Dzieweczka tuli twarz do szyby
i patrzy w zachód słońca.

Ale król, ale on —
Skąd wziął te rumieńce?
Twarz ma w łunach, z winnych gron
Złocą mu się wieńce.

Dzieweczka tuli twarz do szyby
i patrzy w zachód słońca.

Taki pan, taki król
— Kłonią mu się głowy,
Przemógł śmierć, przemógł ból
— Taki pan godowy.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

TO CO NIE PRZEMIJA.

Pamiętam: ręce wyciągnęła przed siebie, przymknęła oczy, a z gardła wydarł jej się cichy, stłumiony szept:

— Nic... nic...

Mrok zapadał i długie fioletowe cienie snuły się po pokoju. Wypełzały z kątów, z pod szaf, z pod krzeseł i snuły się po podłodze i po ścianach jak fantastyczne węże; na górnych szybach w oknie drżał jeszcze blask.

— Nic... nic... zmiłuj się, ja nie mogę!...

Była podobna do zalęknionego ptaka. Miała łzy w oczach, ręce złożyła jak do modlitwy i cichym dziecinnym głosem prosiła mię, żebym ją puścił. Ale ja nie rozumiałem jej słów. Czułem tylko straszliwe pulsowanie wszystkich żył i zdawało mi się, że słyszę szum krwi, która mi napływa do głowy.

— Odejdź, odejdź — chciała mi się wydrzeć z rąk.

Zamknąłem jej usta przeciągłym pocałunkiem.

Byłem zmęczony i pot występował mi na czoło. Skąd się wzięło tyle mocy w tych drobnych, dziecinnych rękach. Z początku rozplatałem jej ręce pół żartem, z uśmiechem politowania, że chce mi się opierać, później zacząłem tracić panowanie nad sobą. Czułem na twarzy jej oddech i upijałem się nim jak winem.

I już nic nie widziałem dookoła. Zostało mi tylko wspomnienie jakiejś sinej mgły, w której rozpłynęły się wszystkie przedmioty i kilku wyzłoconych liści na szczytach drzew w ogrodzie.

Przytrzymałem jej ręce i przygarnąłem ją do siebie. Ona już osłabła i nie miała sił mi się bronić.

Nagle w sąsiednim pokoju rozległ się cichy płacz dziecka.

Wtedy ostatnim, rozpaczliwym, wysiłkiem wydarła mi się z rąk. Po twarzy jej przeleciał jakiś niewypowiedziany bolesny skurcz. Stanęła przy oknie i przysłoniła rękami oczy.

— Słyszysz... słyszysz — zaczęła szeptać stłumionym, urywanym od zmęczenia głosem. — To moje dzieci płaczą... Zmiłuj się nad nimi... Cóż one winne... Niech się nie wstydzą kiedyś swojej matki.

Głos jej się załamał.

A dziecko w sąsiednim pokoju płakało coraz bardziej. I poczułem, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Miałem takie wrażenie, jak gdybym strasznym, nieludzkim wysiłkiem pamięci starał się sobie coś przypomnieć — coś z przed dawnych niepamiętnych czasów. Ogarnęło mię zmęczenie i smutek. Usiadłem w fotelu i ukryłem twarz w dłoniach.

Pani Helena wyszła do drugiego pokoju.

Rozejrzałem się dookoła. Było już zupełnie ciemno. W ogrodzie zerwał się wiatr i drzewa zaczęły cicho szumieć. Siedziałem bez ruchu, bez pamięci, myśli miałem ociężałe, jakby po długim niespokojnym śnie. Drzwi otworzyły się cicho i na progu stanęła pani Helena. Miała na sobie świeży, biały kaftanik. W ręku trzymała zapaloną świecę.

Wstałem i ukłoniłem jej się w milczeniu.

— Chcesz iść, zostań jeszcze chwilę.

Usiadła obok mnie w drugim fotelu.

— Ty się gniewasz... Nie chciałabym, żebyśmy się tak rozstali. Wiesz jak mi ciężko na świecie...

Położyła rękę na mojej ręce i cichym, dobrym głosem zaczęła mówić do mnie:

— Nie odchodź, nie gniewaj się... ty wiesz przecie, że ja oprócz ciebie nikogo nie mam na świecie .. Zmiłuj się, wejdź w moje położenie... Ja nie mogę, musiałabym nabrać dla siebie samej pogardy... Czyż ty byś chciał, żebym była taką jak inne kobiety?... Pierwszy odepchnąłbyś mię od siebie... Pomyśl, co my już mamy niezapomnianych chwil w życiu... Tak nam było zawsze dobrze ze sobą, takie to wszystko było czyste, święte, wiosenne.

Umilkła i objęła mię rękami za szyję.

— Nie, ja nie chcę, ja nie mogę ciebie stracić... — szeptała przez łzy. — Ty wiesz przecie w jakiej strasznej pustce ja żyję. Nikogo, nikogo ktoby mógł odczuć jedno drgnienie mojej duszy... Nim ciebie poznałam miałam takie chwile, że poprostu przychodziło mi na myśl, żeby sobie życie odebrać. Nie wierzysz .. mówiłam ci to już przecie... Widzisz, dawniej wierzyłeś. Przysuń się trochę, bo mi tak strasznie niewygodnie siedzieć ..

— Ja jednak zawiodłam się dziś trochę na tobie, ja myślałam, że ty jesteś lepszy... I to mnie boli... Boże, czyż to jest miłość, przelotna, przemijająca rozkosz po której tylko wstyd i niesmak zostaje. Ja pokochałam w tobie twoją duszę i pragnęłam, żebyś ty mnie kochał tak samo. Uspokój się... Będziesz dobry?... Będziesz mię kochał tak jak ja chcę... Pamiętaj, że ja mam dzieci, że im muszę dobre imię zostawić. Będziesz dobry? No to... pocałuj.

I opierając się piersiami o moje piersi podstawiła mi do pocałunku rozchylone usta.

— Ty się gniewasz na mnie... Tak zimno, tak obojętnie całujesz... A ja ci chciałam przyjemność zrobić, chciałam ci wynagrodzić ..

Krew uderzała mi wciąż do głowy i byłem bliski omdlenia.

A ona cichym, melodyjnym głosem tłómaczyła mi, że miłość to najwyższa harmonia dusz, to co w człowieku wieczne, co nigdy nie przemija. Na oknie zajaśniało księżycowe światło i kilka blasków srebrnych, niby kilka liści z czarodziejskiego drzewa spadło na podłogę. Podniósłem się z fotelu.

— Idziesz już?

Stanęła przedemną, przechylając się lekko w tył i oparła ręce na moich ramionach.

— Pójdę...

— Zostań jeszcze chwilę.

— Późno już... Twój mąż zaraz przyjedzie...

— A tak, masz racyę... idź... idź... idź... — krzyknęła rozdraźnionym trochę głosem.

Nie spałem wcale tej nocy. Do świtu chodziłem po polach. Noc była ciepła i księżyc jasno świecił Powoli, powoli jakaś niewypowiedzianie słodka cisza rozsnuwała się po mojej duszy. Czułem jak wszystko się we mnie przemienia. I żal mi było i wstyd za tę chwilę szału, w której dałem zapano-

wać nad sobą zwierzęciu i chciałem zniszczyć brutalnie to co było naszą największą świętością na ziemi — naszą czystą, niepokalaną miłość.

— Jutro pójdę, do nóg jej padnę i będę błagał o przebaczenie — myślałem.

A w duszy dzwoniły mi jej słowa: Będziemy żyć jak brat z siostrą, stłumimy w sobie niskie porywy i razem silni miłością, pójdziemy szukać prawdziwego szczęścia. Moja dusza do ciebie należy i jej nikt ci nie odbierze.

Dzień już wschodził. Wiatr przyniósł od strony lasu cichy, poranny szum drzew. I obudziła się wtedy we mnie jakaś wielka, dotąd nieznana i nieprzeczuwana nigdy wiara w ludzkie szczęście.

Spokojny i silny powróciłem do domu. Zaczęło się dla mnie nowe życie. Ale z panią Heleną już się nie widuję. Znienawidziła mię od tego czasu i nawet patrzeć na mnie nie może bez pogardy.

JÓZEF JEDLICZ.

SEN TĘSKNOT.

Staw niemy, nieruchomy,
Śni swój sen dziwny na jawie;
Śnią białe, milczące domy
Odbite w ciemnym stawie...

O grodzie tajemniczy,
Uśpiony w ciszy przeświętej:
Cały świat tęsknot zwodniczy
Śni w twych pałacach zamknięty!...

LUCIFER.

Wokoło mroków pustka czarna:
W skałach czyhają ciemne losy
A ja obszarem pędzę bosy
I zbieram nikłych świateł ziarna.

Woła mię bezmiar niedościgły;
W mem czole wiecznych żądz dumanie
W źrenicach moich łzy zastygły,
O ostry kamień członki ranię...

Wciąż łowiąc żary okiem łzawem,
Gromadzę w pęki gorejące:
Moim to trudem, dziełem krwawem,
Że w sinych mrokach wstaje słońce!

Kraków w 1902 r.

NA DNIE.

OBRAZY Z ŻYCIA MAKSYMA GORKIJA. PRZEKŁAD A. ZELWEROWICZA. MONACHIUM 1903. MARCHLEWSKI I SKA.

W pewnem schronisku znajduje się bardzo wielu ludzi przeważnie bez zajęcia. Jest tu umierająca kobieta, jest tu dziewczyna, która czyta romanse i zachwyca się szczytnością, jest tu aktor, który rozstał się z sceną, jest gospodarz, który wszystkich wyzyskuje, i jest przedewszystkiem młody mężczyzna, Popiół, zakrawający na człowieka. Lecz samodzielność niweczy mu Łukasz tyran Ów Popiół zabija przypadkiem właściciela schroniska, męża swej byłej kochanki, którą porzuca dla jej siostry. Dramat polegałby może na sprowadzeniu tego morderstwa mimo wszelkie przeszkody i przewidywania, więc mimo omijanie i unikanie kilkakrotne. Przypadek byłby koniecznością jak „w życiu“. Lecz Gorkij nie chciał napisać dramatu, mają to być obrazy z życia. Drugi dramat tkwiłby może w jednej z postaci, w Łukaszu, który... lecz to okaże się nieco niżej. Więc, w ten pozornie bezładny, chaotyczny kłębek ludzi wpada tu nagle człowiek, imieniem Łukasz i odgrywa rolę Opatrzności, Boga, potęgi przewidującej i wiedzącej. Wpada i odrazu wszystko wie. Jak widać, panuje tu w tym kłębku ład i porządek. — Ten Łukasz, obejrzany dookoła — nie trzeba zaglądać w głąb, ponieważ tam jest tosamo — to epigon Dostojewskiego (bogowie czasem naśladują poetów). Jak wiadomo, pochodzi od Dostojewskiego maksyma, wedle której człowiek, jakimby nie był, może wyrobić w sobie umiłowanie wszech rzeczy i ludzi również. Czyli ma moc istotnego przeobrażenia swej istoty (w wyrazie „przeobrażenie“ tkwi „myśl“, że tu idzie o uczynienie innego obrazu). Dostojewski zapomniał o... stylu; który trzeba mieć, naśladować go nie można. Można dojść do umiłowania wszech rzeczy, lecz, doń doszedłszy, można wyrażać się bez wyboru, jak to czyni ów np. Łukasz Niema w tem prostoty żadnej, jest natomiast wszędzie ukryty zamiar, wysuwanie na czoło rzeczy, które muszą działać sobą, bez wysuwania. Taki człowiek zazwyczaj „zaznacza swoje stanowisko“. Można to znaleść u wszystkich ludzi zgryźliwych, którzy porzucają swoją zgryźliwość dla obcej formuły. To znaczy, zgryźliwość, swoją przeszłość niezatartą, zachowują, formułę obca przyjmują. Niema w tem prostoty żadnej (dlaczego porzucają zgryźliwość?); dlatego ów Łukasz staje przed widzem lub czytelnikiem w przeobrażonym już kształcie, a wobec ludzi jak wobec mechanizmów — słusznie czy niesłusznie, rozstrzygnie filozofia. On te mechanizmy zna na wylot, umie je na pamięć, dla niego człowiek, to machina, której gesty i obroty można przewidzieć, niema bowiem w tej machinie nic nieobliczalnego. Jest w takim sposobie, w przybranym stylu, nie cześć dla człowieczeństwa, lecz... nie wiem, jak się to nazywa. „Wszyscy są ludźmi“ — oto styl nowy; z poza którego nowości wygląda przeszłość, styl dawny, potrącany na każdym niemal kroku. On do tego doszedł. Co z tem zrobił? Stanął: na tem określeniu kończy się zadanie i dzieło Łukasza. A takie określenie może być często dotkliwą dla kogoś obelgą? Umysł, dociekający człowieczeństwa wszędzie, bywa często okrutny — tak Dostojewski lub inni; poprzestańmy na tym wzorze — bo tego człowieczeństwa mu nadto, nie chciałby odkrywać go ciągle, chciałby natomiast jakiejś niezmiennej granicy, punktu stałego, na którym stojąc (na punkcie?), możnaby mówić o rzeczach i postępkach nieludzkich. Oczywiście takiej granicy dotychczas umysł ludzki nie odkrył, lecz ją ustanowił. Umysł ludzki postępuje administracyjnie. Łukasz więc właśnie takiej granicy nie widzi, czyli miesza się z „tłumem“; ginie; poświęca się! Podejmuje więc dzieło Dostojewskiego w miejscu, w którem skończył Dostojewski, czyli doszedł. Doszedłszy, stał się nieużytecznym. Inni po nim nastąpią. Tymczasem Łukasz poświęca się, a przytem jest zawsze Łukaszem, głoszącym człowieczeństwo, czyli... jest sobą. Zatem człowiek mocny. Tak; człowiek taki upraszcza rzeczy powikłane świata; nie idzie o

jego osądzenie rzeczy, jaka jest, lecz jaka jest w stosunku do niego. Idzie zatem o jednolite zachowanie się wobec zjawisk różnych. Człowiek taki ma zdolność zachowania się właściwego czyli zrozumienia najzawilszych sytuacyj. Jestto właściwie prześlepienie sytuacyi, a zrozumienie siebie samego. Ów Łukasz, upraszcza wszystko, we wszystkich stworzeniach ludzkich widzi człowieka; stosunek jego do świata polega na czynieniu dobrze. Otóż, jak wszyscy, którzy coś wedle maksymy Dostojewskiego, wyrabiają w sobie (raczej malują na sobie), ów Łukasz czyni dobrze, wybacza Zrozumienie jest niepotrzebne, może przyjdzie potem. Chociaż w niem właśnie tkwi istota i rzeczywistość takiego człowieka. Zrozumienie, poświęcenie. Skutkiem tego Łukasz, wyrzekłszy swoje sakramentalne „człowiek“, stoi nieruchomo, ciągle na pierwszym planie. Jest właściwie... „egoistą“. Chciał czynić dobrze, nie umiał się do tego zabrać, nie miał stylu. On wszystko przewiduje, to znaczy wie, jak się zachowa wobec wszystkiego. Na tem jednak, w tym wypadku, nikomu nie zależy. Łukasz wszystko przewiduje, jak... otóż i dla Boga prawdopodobnie rzeczy są nieobliczalne. Demiurgos bowiem, przewidziawszy nudę, jakąby musiało wytwarzać powtarzanie się tejsamej sprawy, puścił świat swój samopas i ustanowił (ustanowienie zawsze jest niebaczne) dramatyczne zawieszenie między dniem a nocą. Może słońce nie zechce już wzejść! Jak każdy dramaturg jest niemal pewien, że wzejdzie, lecz... wznoszą się nadzieje, budzą się wątpliwości. Ten marzycielski świat chciałby być.. zaświatem! Chwila, jak widać, jest dramatyczna. Wolna wola gra czarownic. Świat może pójdzie swoją drogą. Lecz nie; słońce wzeszło, świat znowu zakręcił na dawne tory tak, że pozornie nic się nie zmieniło. Trzeba będzie zobaczyć jutro raz jeszcze. Napięcie i niespodzianka trwa ciągle. (Dla Łukasza niema niespodzianek, on człowiekowi wolnej woli nie zostawi, czyni się nawet niewidzialnym, żeby módz w danej chwili chrząknąć i uchronić Popioła od „czynu“ gwałtownego. On to chrząknięcie czy ziewnięcie przewidział!) — Człowiek jednolity działa zawsze jednako, lecz to wiemy z tego, co już uczynił, z przeszłości, przewidzieć tego nie można; człowiek taki stanąwszy przed uczynkiem, budzi zaparcie tchu, „dramatyczne“ oczekiwanie, ma wybrać. Wybrał jak wczoraj i jak przedwczoraj. (Czy istotnie?) Łukasz nie wybiera nigdy, wszedł na scenę i odrazu wiadomo, że on wie i zawsze będzie wiedział. I wiadomo, że wszyscy są ludźmi i wszystko, co uczynią, będzie ludzkie. Dla Łukasza niema spraw nieobliczalnych On zawsze powie tosamo. Albowiem niema tu nic do zrozumienia. Skoro raz rzeczono: człowiek jest człowiekiem, można zamknąć oczy. Następuje mechanizacya człowieka zupełna. Cokolwiek się uczyni wówczas, będzie bezosobiste np. pociecha (siostry miłosierdzia miewają tę suchość absolutną). Leży w tem schronisku umierająca kobieta, którą ów Łukasz pociesza. Anna pocieszenie przyjmuje, ponieważ tak chciał autor, ponieważ z faktu, że pociecha przyszła, czytelnik może wywnioskować, że.,. Łukasz, to człowiek świątobliwy. Tymczasem o Łukasza tu wcale nie szło Wysunął się jednak naprzód, o Annie widz zapomniał. Wszyscy w schronisku pamiętają Łukasza, nie pamiętają Anny, zupełnie jak „w życiu“ — ludzi bolejących zapomina się zupełnie, pamięta się o Bogu. Tylko, że Bóg zachowuje się stylowo, jest niewidzialny.

Dostojewski przedstawił kilka typów takiego człowieka — typ jest pojęciem nie tak ogólnem, jak przyjęto pisać i mówić, na typie bowiem uwydatniony jest jeden tylko rys — np. księcia Myszkina, owego Idyotę, który chciałby przywrócić pojęciom rzeczywistość utraconą, albo najmłodszego z braci Karamazowych. Ludzie ci nie doszli do tego, czem się okazują, lecz zawsze tacy byli. Niema u nich różnicy między tem, co nazywa się pozorem i istotą. Stąd ich prostota. Łukasz jest monotonny, suchy, ludzie Dostojewskiego rozumieją i przebaczają, stąd dla każdego człowieka mają słowa inne. Między tymi ludźmi a Łukaszem Gorkija różnicy niema: zachodzi tylko między nimi stosunek rzeczywistości do cienia. Lecz, czem różna rzeczywistość i cień? W istocie niczem. Lecz u ludzi jak Łukasz taki rozłam się uwydatnia. U tamtych ludzi pytania takie nie nasuwają się wcale. Linie, ja-

kie zakreśla Łukasz, czyż to jeszcze linie? Kanty. Trzeba jednak wierzyć, że to linie. Człowiek rozsądny wierzy we wszystko, co mu kto powie i co napisano, jak powiada mistrz Rabelais. Zwłaszcza, że tacy ludzie chodzą po ziemi i do nich to właśnie przystaje (widzimy, jak bardzo) nielogiczne powiedzenie „Na dnie“. On im mówi, że nie są na dnie, lecz obchodzi się z nimi jakby byli na dnie. Dlaczego na dnie? I na dnie czego? W jakim związku z takim człowiekiem jest „na dnie“? Oto chwila dramatyczna. Książka ta jest dramatem dopiero razem z tytułem. Łukasz, może sam Gorkij (lecz raczej Łukasz) stracił wreszcie monotonię; chwila zajmująca jest i tutaj. Jak umysły szybko dochodzą do dna i zawsze tam, gdzie dna niema. Istota ludzka jest tu pojęta po ludzku, a stosuje się do niej miarę klas i rang społecznych. „Na dnie“: — umysł ludzki, zdawało się swobodny, przez chwilę, popadł w dawną swoją administracyjność. Trzeba przyznać, że ten przynajmniej, ten umysł, zawsze jest sobą. Nie może się znaleść w bezgranicznem życiu, więc ustanawia granice. Tytuł książki jest bardzo łatwy. Dno — powierzchnia — rzeczy niezmiernie jedne. Niema w tej książce nic nowego, jestto dawny szablon i system. Przesąd. Niewiadomo, dlaczego to ma być na dnie. Tensam przesąd ustanowił granicę między „radością“ pogańską, a „smutkiem“ chrześciańskim.

Otóż i tego dramatu Łukaszowego Gorkij nie chciał napisać, ponieważ nie chciał go wysunąć na pierwszy plan. Napisał go mimo woli, napisała go wola ukryta, która mu osłoniła postać Łukasza powagą. Powagi w nim niema. I niema jej w innych, od których zresztą, niczem się nie różni Łukasz.

Tamci zaś, z owego małego światka, to nie żadne włóczęgi, żadni „zdeklasowani“ (dla Łukaszów wszak takich ludzi niema — są tylko ludzie) — lecz udają włóczęgów, zdeklasowanych i t. d. Z ukosa patrzą na opinię. Nie są to bowiem zrewoltowani przeciw opinii, lecz, że ich tak nazwę, ludzie „żądni grzechu“. Oni wiedzą, że są włóczęgami i tylko jeszcze pragnęliby się usprawiedliwić. Trzeba im sankcyi. Są zmanierowani. Tak ów Alosza, który woła „Niczego nie chcę“ — ma swoje określone jasno pojęcie włóczęgi i nic zeń nie uroni. Mały ten światek ma także swoją etykę — np. „na co potrzebna uczciwość?“ — albowiem muszą mieć sankcyę i pozwolenie, muszą mieć autorytet i władzę. To nie ludzie wolni, którzy się włóczą, lecz „smutni“, jak określa ich Kasprowicz. Mają także swego Boga, którego nieustannie naprzód, niby tarczę, wysuwają. Albowiem każdy człowiek i każda grupa ludzi wytwarza sobie Boga, na jakiego go stać. — Więc: to nie żadni podupadli, zdeklasowani, ludzie z dna — nie, to zwykli ludzie, nieruchomi, jak na wszystkich innych „szczeblach“ społeczności. A raczej to burżuazya w innym gatunku. Ludzie wolni są niepotrzebni, być może, ani na scenie, ani w pokoju, ani na ulicy, są niemożliwością. Ludzi wolnych żadne oko ludzkie nie dostrzeże. Są skazani na śmierć i bezimienność wieczystą. — Ci w książce Gorkija, to istoty raz na zawsze silną wolą ujęte i zmechanizowane, poglądające ciągle wstecz, na tę wolę, na bok i z ukosa — naprzód idą tylko „filozofią“, która u nich jest systemem uniewinnień i usprawiedliwień. „Filozofują“ nieustannie Nie widać związku ich filozofii z ich istotą własną. To dwie rzeczy różne. — Autor miał zadanie przeniesienia ich z mieszkania prawdziwego na kartki książki i wprowadzenie pierwiastku artystycznego w postaci owego Łukasza, który nieopatrznie wprowadza ład i porządek, gdzie ład i porządek już jest. Pierwiastek artystyczny polega tu na stanowczem odgraniczeniu pewnej ilości ludzi od reszty świata i na sfotografowaniu. Taki bowiem jest proceder fotografa, który jeszcze czasem grupuje. Gorkij grupowanie pomija. Coś w rodzaju „pięknego nieładu“ lub w przybliżeniu. Tła niema żadnego, tłem jest czytająca publiczność, albo też: tło dopowiada ta lub owa figura np. Baron, aktor albo dziewczyna, czytająca romanse. Tyle związku z resztą świata. Fotografia jest najnieprawdziwszą rzeczą na ziemi. Może na tem polega styl? Nie zależy chyba nikomu na tem, żeby takie zagadnienia rozstrzygać.

Uszykowawszy sobie w ten sposób owego Gorkija, należy wziąć książkę p. t. „Na

dnie“ (o tej bowiem wyłącznie tu mowa) i wstawić ją między inne książki. Żadnego dna nie widzieliśmy, albowiem dna niema. Nie trzeba go wcale szukać. Łukasza, cenny klejnot, należy przyjąć, jako doskonałość nudną. Ów zaś światek ludzi z dna jest tymsamym światkiem ludzi z powierzchni, zmechanizowanym, pchniętym bezwolnie w jednym kierunku. To zmechanizowanie jest istotą, nie zaś pozorem, a słowa i filozofia wypowiadana przez tych ludzi niema żadnego znaczenia innego jak mechaniczne. Jest im obca. Są ludźmi właśnie bez tej filozofii; w zetknięciu się takich mechanizmów bezwolnem i bezmyślnem, jakby może ktoś określił, tkwi człowieczeństwo. Niema bowiem powodu, dla któregoby dopiero pewien „duchowy“ pierwiastek miał wzmódz ich godność ludzką, ani dla któregoby mechanizm nie był człowieczym. Łukasz twierdzi, że nawet w takim mechanizmie jest człowiek. „N a w e t“? Wszak właśnie ten mechanizm jest człowiekiem. Łukasz nie umiał sobie poradzić z nową swoją dziedziną, z nowym swoim stylem, popadł w stary, jest epigonem, powtarza dzieło Dostojewskiego. Nie idzie dalej Nie czyni dobrze, lecz zdąża dopiero do zrozumienia. *St. Lack.*

JACEK MALCZEWSKI*).

Każdemu prawie znaną jest staroniemiecka baśń o wyławiaczu szczurów (Rattenfänger von Hammeln). Nieprzeparty urok melodyi czarownego fletu, tego germańskiego Orfeusza, pociągał za sobą ludzi i zwierzęta; czar ten owładał szczególnie dziećmi, które głuche na wołania rodziców dawały się uwieść na zagubę i śmierć, za głosem tej pieśni biegły w dal aż do śmiertelnego umęczenia, w takt jej tańczyły aż do zupełnej utraty sił. Złowrogi grajek mścił się w ten sposób na rodzicach za niedotrzymanie umowy. Taką uwodzicielką dusz młodych jest Sztuka. O czyje uszy obije się choćby dalekie echo jej głosu, ten pójdzie za niem niepomny smutnego losu tylu innych, co wyszli za daleko, aby módz wrócić, a iść i szukać dalej nie starczy już sił. Syreni, kuszący głos tej Pani czyni głuchym na przestrogi i nawoływania, tłumi i niweczy najsilniejsze porywy uczucia, staje się nieraz przyczyną większych i mniejszych dramatów. Wywodzi wielu w świat, w nieznane, słabo przeczuwane życie, prowadzi ich w wir walki, wśród której głos jej czasami milknie, aby się po niejakim czasie znowu odezwać, dalekiem echem pociągnąć znów dalej. Wywodzi wielu, opuszcza wielu, niektórym tylko towarzyszy prawie bez przerwy przez cały ciąg tej wędrówki. Niektórym, których czasami też nie oszczędza.

Jednym z tych, którym obecność jej towarzyszy w ciągu całego ich życia, których z raz obranej drogi nie zwiedzie nikt i nic, jest p. Malczewski. Na obecnej wystawie możemy obejrzeć ten kawał drogi, jaką szła myśl tego artysty, kilkakrotną ewolucyę duchową, przemiany jakie przechodził jego talent. Widzieliśmy, jak szedł, nie zatrzymując się, ni spiesząc, spokojnym, miarowym krokiem wędrowca, świadomego celu, wędrowca, który patrzył, przeżywał i pogłębiał to, co się wokoło niego działo, czasami przysiadał i pogrążał się w głębokiej zadumie, po chwili wstawał, aby podążyć dalej i dalej. W wędrówce swej podobnym jest do tego derwida, na jednym ze swych obrazów, co kroczy wśród złotego łanu zboża, z którego wykwitają płomyki maku. Zda się, że wyszedł z jakiegoś piekła mąk, piekła, którego żar dogasa mu na obliczu, jak gaśnie w płomienistych barwach zachodu, ten letni, upalny dzień w pejzażu, którym gdzieś dąży Idzie, do góry wzniósłszy dłonie, palcami zda się przebierać na niewidzialnych strunach rozgrzanych upałem fal powietrza, z przymrożonemi od złotych

*) Ze zbiorowej wystawy obrazów w Tow. Przyj Szt. Pięk.

blasków oczyma, całą duszą wsłuchany w melodyę żarem rozedrganych pól.

Z tą powierzchnią życia, jaką zazwyczaj zwykliśmy oglądać, spotykamy się rzadko w obrazach p. Malczewskiego. Począwszy od najwcześniejszych szkiców kompozycyjnych, ilustracyj do poematów Słowackiego, pierwszych skończonych obrazów, do których należą wystawione obecnie „Niedziela w kopalni“, sceny etapowe i „Zesłanie studentów“, po przez cały szereg prac późniejszych, aż do dzieł z ostatniej doby, widzimy obrazy, w których języku niema ani jednego zapożyczonego wyrazu. Język ten jest tak dziwny i tak oryginalny, pełen tak niespodziewanych zwrotów, że trudno się z nim zrazu oswoić.

Tworzy on pozornie labirynt, nić do niego trzeba powoli odszukać, zidentyfikować się z jego twórcą, pozwolić mu się owładnąć, zatracić niejako własną indywidualność. „Wobec obrazu — powiada Szopenhauer — należy się zachować, podobnie jak w obecności władcy: oczekiwać chwili, w której on zechce do was przemówić, oraz pozostawić mu wybór tematu do rozmowy. Nie powinno się przemawiać tak do władcy jak do obrazu pierwszemu, bez narażenia się na to, że usłyszy się tylko echo własnych słów.

Jeżeli ktoś z uwagą śledził od początku bieg myśli w obrazach p. Malczewskiego zauważy, że w pewnem miejscu wyłania się coś, dotychczas w całym przebiegu tej twórczości nie znanego, nawet nieprzeczuwanego — figura, której nazwa, tytuł i postać przypomina nam jeden z tworów mitologii greckiej, jeden z symbolów najbardziej nieuchwytnych, najtrudniejszych do określenia. Jest nim Chimera, usymbolizowana przez Greka w figurze lwa, któremu z grzbietu wyrasta łeb kozły, ogon zaś przechodzi w głowę węża, czy smoka. Pomijając wartość tego symbolu z mitologii greckiej, symbolu, który z biegiem czasu nabierał rozmaitego znaczenia i był stosownie do czasu i miejsca rozmaicie interpretowany, znajdziemy, że p. Malczewski wynalazł dla niego nowy własny znak, przedstawił go w postaci torsu kobiecego, który przechodzi w ciało tygrysa. Postać ta jest w obrazach p. Malczewskiego nieodłączną towarzyszką malarza, zmienia tylko niekiedy szatę, wyraz i równocześnie tytuł w obrazie. Ciągła jej obecność każe się domyślać, że siła jej, władza jest wielką — okaże się jeszcze większą, kiedy poznamy ją i tam, gdzie przywdziała na się zupełnie inną postać, formę uczucia pozornie innego od poprzednich, tak, że oko tylko poznaje ją z trudnością. Przewija się ona przez obrazy Malczewskiego, jak nić w dywanie, czasami wyłania się na chwilę, aby zaraz zniknąć, zda się umknąć jakby czuła na sobie jakieś spojrzenie, wybiega, przywdziawszy na siebie nową maskę, nowy wyraz, czując, że ją ktoś śledzi; umyka, wreszcie wychodzi zupełnie na jaw, naga jak prawda, spogląda szyderczo w oczy.

Zasadnicze znaczenie tej postaci — kaprys — przybiera tu ciągle nową formę, rozszerza niejako pojęcie kaprysu na szereg uczuć, znanych pod zupełnie inną nazwą. Widzimy ją tutaj raz jako Sztukę, następnie jako Sławę, czasem podsuwa nam myśl obowiązku społecznego, raz znowu przybiera postać Muzy — a jeńcem jej, kochankiem i ofiarą jest człowiek, któremu malarz kazał być artystą, malarczykiem, pastuszkiem lub grajkiem. Człowiekowi temu ukazuje ona siebie pod coraz to nową postacią, jest naprzemiany jego rozkoszą, smutkiem, radością i cierpieniem. Przerywa mu pracę, ukazując mu widmo obowiązku społecznego, (w istocie siebie znowu), szczepi mu w duszę jad zwątpienia, uczucie człowieka wyrzuconego po za obręb społeczeństwa, po za życie zbiorowe, usiłuje mu podszepnąć, bezskuteczność, nieproduktywność jego wysiłków — ona, co stawiała mu kiedyś gmachy złudzeń, prowadziła go w życie! Dlatego też on próbuje czasem skruszyć pęta tej niewoli, złamać okowy, ruszyć silnym krokiem naprzód, być wolnym i żyć. Widzimy go (Niewolnik i Chimera), widzimy ten wysiłek, z jakim usiłuje skruszyć okowy na rękach; wysiłek uwidoczniony w wyrazie twarzy, w konwulsyjnie zaciśniętych ustach, z żelazną obręczą na głowie. Widzimy tu tylko wysiłek fizyczny, z którego ona, Chimera, uśmiecha się tylko szyderczo. Próbuj — zdaje się mówić ten uśmiech.

— Skutą masz przecie myśl...

Jeżeli teraz w innym obrazie (Melancholia) nazwę Chimery zastąpimy inną nazwą, którą nam podsuwa tytuł obrazu, nazwą melancholii — to ujrzymy ją znowu pod nową larwą, Chimery, która owładnęła już nie jednostką, co czuje się wytrąconą z życia społecznego, lecz całym tłumem, skamieniałej, zamarłej w ruchu procesyi ludzi, których oczy, jak oczy Hamleta na widok widma ojcowskiego, ujrzały coś, co przesłoniło im słoneczne blaski życia zeszkliło im wzrok, spętało myśl i ruchy ciał, co bieg realnego życia zamieniło w senne koło mar. Na tych to ludzi wypuszcza malarz z głębi obrazu, na którym zaczętą jest Polonia, tłum młodych chłopców, młodego życia, które rozbija tę procesyę cieni, pędzi ku ciemnej postaci, przysłaniającej sobą okno, pędzi, aby prawdopodobnie po trupie jej wydostać się na słońce, na ten wiosennem światłem uśmiechnięty pejzaż — na na życie.

Okazuje się więc, że Chimera jest silniejszą od malarza, silniejszą niż jakiekolwiek inne uczucie, np. poczucie obowiązku społecznego, każe inne bowiem malować uczucia, które go niejednokrotnie dręczyły, nakazuje to z siłą, co wyklucza wszelki opór. Ona to w chwilach rozpaczy i zwątpienia ukazuje mu z uśmiechem gałązkę lauru, emblemat Sławy. Ona zjawia mu się wśród deszczem smaganego pejzażu, który on usiłuje odtworzyć (Sława) staje przed mgłą bólu zasnutemi oczyma, wielka wspaniała Pani; wieczna uwodzicielka z wężami Gorgony we włosach, której głos wywiódł go może kiedyś z zacisza wsi hen w szeroki świat. Za głosem jej szedł nieraz przez ciernie i głogi, słyszał go podczas szarych wieczorów jesiennych, wyławiał go z szumu wichru śpiewającego wśród zeschniętych traw... Ona to przecież wiecznie czuła, wiecznie zmieniona, ukazuje się w postaci Anioła pastuszkowi, który pilnując świń i gęsi wśród szarych płaszczyzn polskiego pejzażu, marzy rozmaite dziwy.... Ona zaprowadziła Janka muzykanta pomiędzy łopuchy ze skrzypkami w dłoni, kazała mu podeprzeć głowę i zagapić się w dal, zasłuchać się w ledwo dosłyszalne szmery. W innym obrazie (Malarczyk i jego Muza) przywdziewa na się postać Muzy i szepce coś młodemu malarczykowi do ucha, usiłuje go odwieść od bezmyślnego kleksowania ścian zapomocą szablonów, ukazując mu inne życie, inne zadania, szczepi weń pierwszy bunt. Ona wstrzymuje rękę malarza jako Myśl straszliwa, przerywa mu pracę, larwą Chimery-Polonii z emblematami niewoli, dręczy jak wieczny wyrzut sumienia. A kiedy wreszcie zdaje się, że zapomniał o niej, a głowa w głębokiej zadumie opada mu na dłonie, ona w uskrzydlonej postaci spogląda nań z po za ramion swych skrzydeł, jakgdyby chciała go odejść. Waha się, jakby oczekiwała chwili, w której on podniesie głowę, aby ją znowu ujrzeć przy sobie. Ona to wygrywa już ledwo odrosłemu od ziemi dzieciakowi, stojącemu na rozmokłej deszczem ziemi, zasłuchanemu całą duszą w nieznane melodye, — ona w postaci małego bożka Pana. Za tło służy tu szary północny pejzaż, z dworkiem wiejskim w pośrodku oraz nieodzownym symbolem domowego gospodarstwa cebrzykiem, zawieszonym na płocie. Dziwnem jest to zestawienie tych dwóch figur, tego faunika z tym malcem, w którego duże błękitne oczy wlazła cała malutka dusza przyszłego może artysty. Wyraz tych oczu mówi, że nie widzi on tego fauna, lecz czuje jego obecność, czar, który go unieruchomił, kazał mu zapomnieć o indykach, powierzonych jego opiece.

Urok koncepcyi poetyckiej, urok wypływający z ideowego założenia obrazów Malczewskiego zajmuje w najwyższym stopniu uwagę widza, daje mu przebogaty materyał myślowy, skutkiem czego zapomina się prawie o nich jako o dziełach sztuki plastycznej.

Poeta toruje w nich niejako drogę malarzowi, poeta, którego malarz tłomaczy przy pomocy swych środków, a siła szczerego, głębokiego natchnienia, przenosi widza w znany świat, podobny do świata snu, w którym się przeżywa kolejno te stany napięcia duszy, jakie artysta sam kiedyś przechodził. Obrazy Malczewskiego są ilustracyą, kluczem polskiej duszy — i to może tłumaczy niezwykły ich urok. *W. M.*